

#### **4 Utopić się w kinie**

Gdy tylko pojawiła pierwsza informacja o naborze na wolontariat na Festiwal Nowe Horyzonty, bez chwili wahania zgłosiłem się. Wypełniłem formularz, nie dopowiadając w niektórych miejscach umyślnie lub przypadkiem (w rzeczywistości znam podstawy francuskiego, a nie włoskiego, po włosku gadam jak Brad Pitt w „Bękartach wojny”). Po roku pełnym porażek, większych niż Blue Screen of Death na konferencji Microsoftu, w połowie czerwca dostałem wiadomość.

Tę wiadomość...

#### **12 Dzień Sportu**

Od ponad roku trenuję wioślarstwo. Trafiłem na nie przypadkowo - pewnego semestru wuefisci postanowili wstrzymać fakultet turystyki górskiej, więc zapisałem się na zajęcia do prof. Szymerowskiego. Ten zbieg okoliczności rozpoczął moją poważniejszą, trwającą do dziś przygodę z wysiłkiem fizycznym. Dzień Sportu, który odbył się u nas w pierwszym tygodniu nauki, stanowił równie dobrą okazję do znalezienia swojej dyscypliny dla każdego chętnego ucznia ALO, a nawet zapewnił możliwość rywalizacji międzyklasowej.

#### **15 Światła na rozszerzenia**

Każdy przyszły maturzysta wie, jak ważne są rozszerzenia przedmiotowe. Opowiadają dziś o nich uczniowie naszych klas trzecich i drugich.

#### **17 Jak oceniasz szkołę po roku?**

Głos mają dziś drugoklasiści, którzy już nie boją się ALO, a matury jeszcze się nie obawiają. Są pośrodku...

#### **18 Dlaczego ALO?**

Na proste pytanie odpowiedzi udzielają uczniowie naszych klas drugich.

# Słowo naczelnego

Opowiadałem to już wszystkim, ale ostatnie półtora tygodnia spędziłem w mamrze. Technicznie rzecz biorąc, nie należy tak mówić o szpitalach (normalnych, nie psychiatrycznych), ale bądźmy szczerzy: wynudziłem się na tyle, że z chęcią wróciłem do szkoły...

Ogólnie rzecz biorąc, nie było tak źle. Inaczej niż w raju, daleko od nieba. Całkiem wygodne łóżka, jedzenie o określonych porach (pomijam fakt, że było okropne, ale w sobotę dostaliśmy po kiełbasie na śniadanie, więc nie mam prawa narzekać), całkiem przyjemna okolica, książki Musierowicz i pewien duch braterstwa wśród pacjentów, występujący jedynie wśród zawodników sportowych czy żołnierzy. Nie ukrywam jednak, że było wiele miejsc lepszych niż to. Chciałem uciec, ale pielęgniarki mnie powstrzymały. Wyszedłbym wcześniej, ale przez niezależne ode mnie działania z góry, zarówno na szczeblu administracji i wyżej, siedziałem dużo za długo.

Codziennie wieczorem oglądałem przez okno swojego pokoju zachód słońca. Myślałem dużo o wielu rzeczach, w końcu miałem czas. Czy tęskniłem wtedy za szkołą? Być może. Mając świadomość istnienia wielu różnych zdarzeń w nadchodzącym roku: matury (nawet dwóch w mojej sytuacji), końca edukacji, olimpiad, bla, bla bla... zarówno cieszyłem się końcem rutyny, jak i irytowałem się, że znowu wrócę do domu o dziewiętnastej. Pod wieloma względami szkoła przypomina więzienie. Jest określony rygor, przerwa na spacerniaku, parszywe jedzenie na stołówce, absurdalne zakazy oraz egzaminy przypominające bardziej ubieganie się o zwolnienie warunkowe. W gruncie rzeczy przeniesiono mnie do innego zakładu karne-go. Brakowało jedynie, żeby na dzień dobry zrobiono mi zdjęcie z przodu i z profilu (w zasadzie tak było, tyle że w pierwszej klasie).

Jeśli mój tekst brzmi co najmniej nieoptymistycznie, to nic na to nie poradzę. Rzeczywistość potrafi dać w kość. Być może szczęścia należy szukać w tych sytuacjach, w których zachwycamy się zwykłą strukturą chmur. Ale jeśli mam być szczerzy, to nie należy go szukać w szkole. Czy wystawiani jesteśmy na szkodliwą propagandę? Wystarczy przejrzeć program nauczania. Czy nie liczą się jednostki? Czy traktuje się nas jak bezwonną masę? Jeśli nie, to co robią tu oceny, sprawdziany oraz matura? Czy liczy się sprzeciw? Za sprzeciw się siedzi albo straszy konsekwencjami.

Już dawno pogodziłem się z sytuacją, w której nie dostanę się do Stanów na uczelnię (MIT). Dlaczego? Bo się boję. Okropnie boję się testu, a przygotowania do niego nie pomagają. Ten sam problem mam z maturą. Szkoła stworzyła problem, rozwiązując potrzebę nauki czy raczej dostosowywania do ogólnie przyjętych standardów, mianowicie pozbawiła człowieka samodzielnego myślenia. Zwyciężył konformizm, a wraz z nim ślepe podążanie za wygodnymi schematami i zasada czterech zet. Byle łatwo, byle bez wysiłku, byle na odwal się. Chyba nie na tym polega szczęście.

Czy po raz kolejny moje wołanie utonie w białym szumie? Trudno mi powiedzieć, ale za dużo naoglądałem się obojętnych ludzi odwracających wzrok od płonącego człowieka. Mam za to nadzieję, że powiecie się Wam mimo wszystkich trudności. Byście mogli uśmiechnąć się pod koniec i powiedzieć sobie, że to było dobre życie. Prawdziwe, mogące istnieć bez ozdobnych dodatków. Oraz że dacie radę przezwyciężyć wszystkie trudności. Życie jest czymś, co przemija. Są w nim elementy, których nie można kontrolować. Mamy wpływ jedynie na nasze relacje i uczucia. I w efekcie nasze życie staje się wspólnym przeżywaniem samotności.

**KACPER KOWALSKI – 3 A**  
**redaktor naczelny „Politechnika Junior”**



# Utopić się w kinie

Gdy tylko pojawiła pierwsza informacja o naborze na wolontariat na Festiwal Nowe Horyzonty, bez chwili wahania zgłosiłem się. Wypełniłem formularz, nie dopowiadając w niektórych miejscach umyślnie lub przypadkiem (w rzeczywistości znam podstawy francuskiego, a nie włoskiego, po włosku gadam jak Brad Pitt w „Bękartach wojny”). Po roku pełnym porażek, większych niż Blue Screen of Death na konferencji Microsoftu, w połowie czerwca dostałem wiadomość. Tę wiadomość...

**O**bstługa kina (a konkretniej sali w Nowych Horyzontach) – praca w jednej z wie-lu sekcji. Pozostałe informacje były związane z m. in. z biurem prasowym, biurem obsługi gości, księgarnią festiwalową, oprawą plastyczną festiwalu, kinem plenerowym, wypożyczalnią rowerów, kolportażem drukowanych materiałów, obsługą strony internetowej... Innymi słowy, dużo nas się zgłosiło, każdy w swojej niszy, tworząc całościowo organizm podobny do mrowiska.

*(Pójdź do kina na cokolwiek, gdziekolwiek. Kupując bilet, przeglądając repertuar, siedząc na sali, oglądając film, żrąc popy-corn, żłopiać Polo-Cocktę, zastanów się nad pracą ludzi, którzy poświęcili swój czas, byś mógł zasiąść w fotelu i nacieszyć swoje zmysły ruchomymi obrazkami.)*

Widzieliście ten plakat albo i nie. Grupa ludzi uwieczniona w workach materiałowych, niczym embriony w macicy. Fragmenty instalacji artystycznej związane tematycznie z ówczesnym festiwalem (w tym roku było „Kino, które dotyka”) jeszcze nigdy

wcześniej nie zaintrygowały mnie tak jak w czerwcu, gdy po raz pierwszy zauważyłem informacje o wydarzeniu. Wtedy jeszcze nawet nie wiedziałem, że zostanę wolontariuszem.

Czy miałem jakieś oczekiwania? Miałem pracę do wykonania, by wszystko mogło działać jak należy. Być może szukałem w całym tym zgiełku szkoły życia, po-kory, dowodu na to, że też umiem pracować, wbrew temu co niektórzy mogą sądzić. Obecnie mam osiemnaście lat. Za rok znajdę się poza, stanie się coś, o czym wielu moich rówieśników marzy. Być z dala od deprawującego, zgniłego środowiska szkoły, rodziny, miejsca zamieszkania. Wchłonąć w siebie wolność. Obejrzyjcie „Lady Bird”, porównajcie sobie Saoirse Ronan na początku i na końcu filmu. Słodycz papierosów, uroda modeli czy świetna zabawa po pijaku giną przez smród dymu, wulgarność „Playboy/girl’a” oraz kac. Chyba najlepszym sposobem na rozwinięcie skrzydeł jest doświadczenie zarówno bólu jak i blasku.



## 24-25.07 - PROLOG

Mógłbym powiedzieć, że zacząłem swoją przygodę w środę od warsztatów w kinie. Mielśmy nakręcić krótkie, półminutowe filmy związane z tańcem. Czy powinienem nad tym się szczególnie rozwodzić?

Przygotowałem się nieco. Obejrzałem te wszystkie tańce filmowe, zarówno z musicali, jak i niemusicali. „Deszczowa piosenka”, „Mary Poppins”, „Pulp Fiction”, „Amatorski gang”, „La La Land”, „Dirty Dancing”, „Suspiria”, „Mała miss”, „Tańcząc w ciemnościach” czy „Czarny łabędź”. Aha, jeszcze teledyski Spike’a Jonze. No wiecie, „Weapon of Choice” oraz „Praise You”. Jak kiedyś będę sławny, możecie zaszantażować mnie ujawnieniem filmu, na którym naśladuje Christophera Walkena (i nie, nie mam na myśli nagrania ze studniówki).

Zabawa zabawą, następnego dnia czekała nas praca. Najpierw oczywiście spotkanie organizacyjne, później szkolenia: bhp, obsługa biletów, opieka nad osobami niepełnosprawnymi. I brak wejścia na galę otwarcia (szkoda, bo festiwal otwierał „Portret kobiety w ogniu” Céline Sciammy, a było kilka wolnych miejsc dla wolontariatu, niestety, ja też muszę jeść czasem obiad). Zacząłem pracę w zasadzie o 18.00. Dostałem salę numer 9.

Pierwszym filmem pokazywanym przez nas były „Truposze nie umierają” Jima Jarmuscha. Twórca „Truposza”, „Tylko kochankowie przeżyją” i „Nocy na ziemi” oraz gość, na którego filmy warto chodzić na randki (zapytajcie swoich rodziców), nakręcił komedię o zombie. W obsadzie między innymi Bill Murray, Adam Driver (miał w filmie brelok

do kluczy w kształcie niszczyciela Imperium), Tilda Swinton, Steve Buscemi (spoiler, ginie w tym filmie) oraz Iggy Pop jako jeden z zombie.

Moim pierwszym zadaniem było pilnowanie porządku na sali, czyli m. in. wskazywanie wolnych miejsc, liczenie ich i zwracanie uwagi ludziom jedzącym (był zakaz ze względu na komfort współwidzów). I już na wstępie mogę powiedzieć, że podobało mi się to zajęcie. Mielśmy wtedy komplet (w końcu Jarmusch) i, niestety, zabrakło dla mnie wtedy miejsca. Po prostu nie załapałem się na miejsce dla wolontariusza. To nic, może następnym razem. Pozytyw był taki, że mogłem zapoznać się bliżej ze swoimi towarzyszami niedoli. I przyznaję, można spotkać naprawdę ciekawych ludzi. Nawet się z nimi zaprzyjaźnić, jeśli musicie czekać na koniec zmiany aż do 0.30.

Po seansie mieliśmy (jako wolontariusze) zobaczyć na prywatnym pokazie film poza festiwalem. Przegrałem zakład, bo obstawiałem najnowszy film Terrence’a Malicka. I cieszę się, że przegrałem, bo świetnie się bawiłem na „Starych chłopakach” Toby’ego MacDonalda. Wyobraźcie sobie prywatną szkołę średnią, angielską, nastawioną na kształcenie militarne, w której nauczyciel wuefu ma mały czołg, a czołowym sportem jest coś na kształt rzeczno-rugby (warto by wypróbować na Odrze). Jeszcze zmieszajcie to z historią miłosną. Przepona Wam padnie po dwudziestu minutach.

Jak na pierwszy dzień nie było wcale tak źle.

międzynarodowy  
festiwal filmowy, wrocław  
25 lipca – 4 sierpnia 2019

dowiedz się więcej

## 27. 07. - Killer Style

Zapomniałem klucza od zapięcia do roweru, przez co musiałem wrócić do domu, łamiąc po drodze połowę przepisów drogowych, by przyjechać z powrotem do kina i złamać drugą połowę. W sumie wyrobiłem się w jakąś godzinę. Nieźle. Później już na szczęście pamiętałem o kluczu.

Przyjechałem grubo przed czasem, by ostatecznie spóźnić się. Na szczęście rozeszło się po kościach. Ale jeśli się nie mylę, najczęściej dostawałem z nas wszystkich reprimendy. Nie wolno mówić do uczestników, że się nie wie i nie można pomóc. Nie wolno jeść przy sali. Nie wolno blokować wyjścia do sali. Nie wolno stać na schodach w sali. Nie wolno spekulować biletami. Nie wolno się spóźniać. Na swoje usprawiedliwienie powiem, że to były wypadki. Większości z nich.

Obejrzałem na zmianie „Synonimy” Nadava Lapida, tegorocznego laureata Złote-go Niedźwiedzia. Doceniam ten film, francuski to jego wykrzyczany język, ale mam wobec niego mieszane uczucia. Były izraelski żołnierz ubiega się o azyl we Francji, jednocześnie ucząc się języka i przyjmując tożsamość Francuza. Rozumiem niektóre rozwiązania w tym filmie oraz doceniam jego stronę wizualną. Na-tomiast odnoszę wrażenie, że ostatnimi czasy, by wygrać festiwal w Berlinie, trzeba pokazać onanizującego się mężczyznę. Najlepiej, jeśli pod koniec filmu po-kazuje, że ma umysł neandertalczyka.

Pozwoliłem sobie w międzyczasie wrócić do domu na obiad. Później popędziłem na tegorocznego zdobywcę Złotej Palmy w Cannes, „Parasite” w reżyserii Bonga Joon-ho. Uwielbiam koreańskie kino i cenię sobie Parka Chan-wooka (taki brat-bliźniak Guy’a Ritchiego spokrewniony z Kubrickiem). Kocham przewrotność tych filmów i „Parasite” nie jest wyjątkiem. To geniusz w każdym calu. Niestety, reżyser w oficjalnym oświadczeniu zabronił opowiadania o tym filmie, więc po prostu go zobaczcie, gdy tylko się pojawi. Po raz pierwszy w życiu, po raz pierwszy w kinie, po raz pierwszy od ostatniego razu lub, jeśli jesteście bardzo starzy albo bardzo chorzy, po raz ostatni w życiu.

Zgubiłem po seansie swój czarny kaszkiet. Dostałem go od swoich dziadków i nadal nie odnalazłem. A poświęciłem całą przerwę między filmami na odnalezienie. Być może dlatego nie podobał mi się następny obraz, czyli „Deerskin” Quentina Dupieuxa. A może dlatego, że facet wcześniej zrobił film o morderczej oponie. Zorientowałem się zdecydowanie za późno i może wreszcie zacznę czytać opisy filmów przed seansem. Główny bohater zabija ludzi i to nagrywa, bo nosi fajną kurtkę ze skóry

daniela. Taki „killer style”. Travis Bickle miał lepszą motywację. Szkoda Jeana Dujardina i Adèle Hænel.

Kurczę, sam mam fajną kurtkę (moim zdaniem), ale nie zabijam z tego powodu ludzi. Jeszcze. Być może zacznę, bo zgubiłem kaszkiet.

## 28.07. - My

Zacząłem odrestaurowanym „Kanałem” Andrzeja Wajdy. Najlepszy film o po-wstaniu warszawskim. Zero gloryfikacji, zero lorda Byrona, zero pitolenia o bol-szewickim antychryście. Gliński, ucz się.

Później „Dzięki Bogu” François’a Ozona - ulubionego reżysera mojej eks. To był mój pierwszy kontakt z nim. Bywały lepsze pierwsze kontakty. Sam film nie był zły. Przedstawiał nową perspektywę na problem pedofilii w Kościele katolickim. Uważam, jednak, że „Spotlight” był nieco lepszy. Może dlatego, że nie odkrywaliśmy wraz z dziennikarzami niewygodnej prawdy, tylko musieliśmy wejść w bu-tach w życie ofiar. Czuło się także lekką irytację oraz znużenie, ale prawdopodobnie to samo musieli czuć ludzie przytłoczeni biurokratyczną maszyną najstarszego gangu, według Mildred Hayes.

Na zmianie z kolei zachwyciłem się wersją reżyserską „Oni” Paolo Sorrentino. Film inspirowany życiem Silvio Berlusconi’ego już wcześniej trafił do kin w okrojonej wersji, która była dobra, ale znacznie gorsza od poprzednich dzieł Włocha. Pierwsza zasada brzmi: o okrojonej wersji nie mówimy. Reżyserska była znacznie, znacznie lepsza. Takie the best of Sorrentino: przepyszny surrealizm, obrzydliwie bogata klasa wyższa oraz la dolce vita skrywające ból i lęk przed ostatecznym końcem. Przypomnijcie mi, żebym nauczył się włoskiego. Ten język jest jak krwisty stek podlany czerwonym winem, podany z rukolą i pomidorami.

*(Pisząc ten tekst, ewidentnie muszę być głodny. Na festiwalu trzeba było kombinować z jedzeniem. Na szczęście na rogu był ZZ Top oraz The Root. Osiem misek od-kryłem znacznie, znacznie za późno.)*

## 29.07. - Najlepszy i najgorszy

Przed seansem „Wysokiej dziewczyny” Kantemira Balagova musieliśmy rozsta-wić po całej sali butelki z napojami marki Kinley (dość dobre, pomogły mi prze-żyć popołudniowe zmiany). Później oczywiście była masa sprzą-tania, jak po pierwszym prototypie przełomowego wynalazku, takim co zostaje po nim tylko pojedyncza śrubka. Było jeszcze spotkanie z głównymi aktorkami filmu, przedłu-żyło się, niestety, bo obie znały jedynie rosyjski.

Żałuję, że nie spotkałem ich później i nie dostałem autografów (jedna z nich miała szafowy kapeluszy). Chciałbym z nimi kiedyś współpracować, bo to, co pokazały w „Wysokiej dziewczynie”, jest niewyobrażalne. Chyba tylko „Między słowami” potrafi tak dobrze pokazać relację międzyludzką. Akcja toczyła się w Leningradzie tuż po II wojnie światowej. Obie bohaterki pracują w szpitalu, jedna z nich traci dziecko, druga zmagając się z traumą powojenną. Ich historia dokonuje wiwi-sekcji wrażliwości odbiorcy i każe płakać nad ich losem oraz tęsknić do utraconej wolności. Całości dopełniają jeszcze przepiękne zdjęcia, dźwięk i urokliwie ob-skurna sceneria Leningradu. Chcę więcej takich filmów.

To był chyba najlepszy film, jaki widziałem na festiwalu. Tego samego dnia zobaczyłem też jeden z najgorszych - „Anitę. Szwedzką nimfietkę” Torgny’ego Wick-mana. Pokazywany był w sekcji „Mokre sny”, czyli wraz z filmami zbyt zbrednymi dla mainstreamowego widza i zbyt grzecznymi, by trafić do kina pornograficznego. Jeśli ten film pokazuje ówczesny stan moralny Szwedów, to H.M. Murdock jest zdrowy na umyśle. Czy istnieje lepszy film w tym temacie? Tak. Spo-łecznym - „Jestem ciekawa w kolorze żółtym”, erotycznym - „Nimfomanka”.

Ostatni film obejrany tego dnia to ubiegłoroczny zwycięzca Nowych Hory-zontów, „Holiday” Isabelli Eklöf. Ludzie, którzy myślą, że kobiety kręcą jedynie grzeczne i przyjemne kino z pod znaku „Nie cierpię Walentynek” (rzyg) czy

„Mamma Mia!” (podwójny rzyg), najwidoczniej nie słyszeli o Kathryn Bigelow. Osoba, która polowała na Osamę Bin Ladena, rozbijała bomby w Iraku czy pa-liła punkowe wampiry, kręci jednak letnie kino w porównaniu z madame Eklöf. Tak niewygodnego, podskórnego i żywiącego się niedopowiedzeniami filmu nie widziałem od czasów „Funny Games” Michaela Hanekego. Nie powinienem oglądać tak późno tego filmu.

Ten film nadal boli, jak główną bohaterkę w jednej z najbardziej przerażających i potwornych scen, które widziałem w swoim życiu. Ten festiwal przyciąga dziwnych artystów. A autorka ostrzegała przed seansem, że będzie paskudnie. Mówiła też, że można wyjść w trakcie. Trzeba było posłuchać.

Zacząłem rozpoznawać Jacka Dehnela od czasu tej pamiętnej parady równości w Białymstoku. Polecam przeczytać jego relację z niej. Po spotkaniu z nim po filmie Almodovara (jak się okazało też na nim był) zachęcony przez niego przeczytałem „Saturna”. I nie mogę uwierzyć, że ktoś o niesamowitej zdolności łączenia surrealistycznego opisu z realną historią istnieje. Sam pan Dehnel okazał się bardzo mi-łym człowiekiem z laseczką w stylu Willy’ego Wonki. Bardzo ciekawa persona, miłośnik Xawiera Dolana i stały bywalec festiwalu (i być może znam jego kuzynkę). Do zobaczenia w przyszłym roku, panie Dehnel.



### 30.07 - Tuzy, cz. 1.

I posłuchałem. Wyszedłem po trzydziestu minutach z seansu „The Souvenir” Joanny Hogg. Sorry, ale tak się nie traktuje widza. Alfred Hitchcock mówił, że film powinien się zaczynać trzęsieniem ziemi, po którym napięcie stale wzrasta. Tutaj miało 5, 39116(13) x 10 -44 w skali Richtera. Nawet córka Tidy Swinton, jak i sama Tilda Swinton nie były w stanie nic poradzić. Być może najlepsze było później, ale nie trzeba było nadwierać mojej cierpliwości. Lepszy był już „Angelo” Markusa Schleinzera. Pierwszy film luksemburski jaki widziałem w życiu. I bardzo dobry. Jak eksponat w Muzeum Narodowym. Reżyser (było spotkanie) mówił, że to będzie feel-bad movie. I był. Ale w tym pozytywnym znaczeniu.

Najlepsze, co mnie spotkało tego dnia, to były właśnie spotkania. Chyba tylko ja wiem, kim jest Michał Walkiewicz, Jakub Popielecki oraz Kaja Klimek. Spieszę z tłumaczeniem, że to krytycy filmowi. Walkiewicz i Popielecki są redaktorami Filmwebu (ten pierwszy jest nawet naczelnym), zaś Klimek często z nimi współpracuje oraz można ją usłyszeć w radio. Bardzo cenię ich zdanie i generalnie uwielbiam czytać ich teksty lub oglądać występy (w przyszłym roku w ogóle muszę oglądać zestawy krótkich metraży, bo zbyt późno się zorientowałem, że pani Klimek ma na nich prelekcje)

Same spotkania były dość krótkie, ale sympatyczne. Na Michała Walkiewicza natrafiłem zdyszanego, chyba biegł. Przybiliśmy piątkę. Kają Klimek spotkałem, idąc po obiad. Mogłem poprawić jej humor, bo dowiedziałem się, że wśród użytkowników Filmwebu jestem w mniejszości, która lubi jej, jak to nazwała, „... fe-ministyczną paplaninę”. Jakub Popielecki z kolei zażartował, że został przeze mnie rozpoznany, trafiony i zatopiony. Ci ludzie są wśród tych, którzy wprowadzili mnie w ten świat. Liczę, że kiedyś im się odwdzięczę.

Aha, i dopadł mnie deszcz. Po prostu musiałem znaleźć się na zewnątrz i w jednej chwili, jakby pogoda się wściekła. Nawet dresy Masłowskiej nie oddaliby pozio-mu frustracji. Wróciłem do kina, wyglądając, jakby ktoś zaatakował mnie kubłem wody (co zabawne, tył, czyli m. in. plecy miałem suche). Ciekawym zbiegiem okoliczności jest fakt, że w tym samym czasie puszczano w DCF-ie „Magnolię” Paula Thomasa Andersona (dla niewtajemniczonych dodam, że pod koniec filmu pada... żabami), więc była w tym pewna ironia losu (nie umiem zrozumieć ludzi, którzy nie lubią tego filmu; być może niektórym brakuje pewnej wrażliwości i cierpliwości albo są zbyt zadufanymi w sobie egoistami bez krzty empatii).

Na zakończenie „Greta” Neila Jordana. I nie mogę uwierzyć, że twórca „Wywiadu z wampirem” czy „Gry pozorów” mógł nakręcić coś takiego. To

dość dobry film, ale ma zdecydowanie za dużo jump scare'ów. A, i chyba wyrobię licencję na broń palną i będę strzelał do każdego, kto mi się zaśmieje w złym momencie na sali. Powiem, że w samoobronie. Może Papryk Vega zrobi o tym film: „Kino - widzo-wie zawsze mają rację”.

### 31.07 - Tuzy cz. 2

Zacznę od tego, że nie spotkałem Leszka Możdżera. Któregoś dnia mój tata powiedział mi, że widział kręcącego się wokół kina rzeczonoego muzyka. Mając w pamięci, jak wygląda Możdżer, dość szybko skojarzyłem o kogo może ojcu chodzić. Jak się później okazało, to nie był Leszek Możdżer. Pan po prostu był do niego bardzo podobny, przez co ludzie często go mylą. Ciekawe, czy dorabia jako jego sobowtór.

Na zmianie tamtego dnia widziałem jedynie „La Gomera” Corneliu Porumboiu. Co ja mogę o nim powiedzieć? Zwrotów akcji było więcej niż w przeciętnej tele-noweli, bohaterowie porozumiewali się językiem gwizdającym. Dość zaskakujący był, to pewne.

Siedziałem natomiast w pierwszym rzędzie, a nie w miejscu dla wolontariuszy (tuż przy wyjściu, tak szósty-siódmy). Odstąpiłem je kobiecie z wadą wzroku. Niejednokrotnie zdarzyło mi się obsługiwać osoby niepełnosprawne. Raz otworzyć drzwi na dole dla pana na wózku inwalidzkim. Innym razem pomóc w wejściu na schody lub znaleźć dogodnie miejsce. Czuje się wtedy niesamowitą odpowiedzialnością za tych ludzi. Twoim obowiązkiem staje się dopilnowanie, by czuli się jak normalni uczestnicy festiwalu (i są nimi, bez względu na wszystko). Pojawia się też coś na kształt empatii wobec nich, współczucia w kwestii ich problemów.

Zabawna sytuacja wydarzyła się podczas kolejnego seansu na zmianie, czyli pierwszej części „Nich”. Stałem przy wyjściu, wydawałem żetony do toalety i nie zorientowałem się, że moje koleżanki wpuściły na salę Agnieszkę Smoczyńską (reżyser „Fugi” oraz „Córek dancingu”). Trwałem w nieświadomości długo. Pani Smoczyńska zdążyła w międzyczasie wziąć żeton, zjeść poza salą wafle ryżowe, wrócić. Później, nadal nieświadomy, poszedłem pilnować sali i zwróciłem jej uwagę, że nie można jeść na sali (kończyła wafle). Tam w tle był jeszcze wypadek z wylaną herbatą. Udało się dość szybko, na szczęście, zakonserwować powierzchnię poziomą. Wracając do pani Smoczyńskiej, od czego są koleżanki z grupy, które powiedzą, że mamy kogoś ważnego i znanego na sali. Po seansie udało mi się z nią chwilę porozmawiać, a nawet zdobyć autograf. Była z Robertem Bolestro. Od niego już autografu nie dostałem. Może następnym razem.



tóre powiedzą, że mamy kogoś ważnego i znanego na sali. Po seansie udało mi się z nią chwilę porozmawiać, a nawet zdobyć autograf. Była z Robertem Bolestro. Od niego już autografu nie dostałem. Może następnym razem.

Nie rozumiem ludzi, którzy dali się kupić propagandzie Stalina. Jej efekty istnieją po dziś dzień objawiane przez homo sovietus. Kraj Rad powstał na zgliszczach Ukrainy zniszczonej przez wielki głód. O tym wydarzeniu opowiadał „Obywatel Jones” Agnieszki Holland (była jako gość, prawdopodobnie Kasia Adamik i Olga Chajdas też były, Chajdas może mi tam gdzieś mignęła (jej „Nina” była niesamowitym filmem)). Wow, jaki to był poruszający film. Okej, być może bardzo ukąszony przez Hollywood, ale robił piorunujące wrażenie. Nigdy nie zapomnę tego śniegu i ludzi jedzących to, co im wpadnie w ręce.

W przerwie w mojej ulubionej kawiarni (to ta obok kina, ale ceny mają przerażające) natknąłem się na Olę Tokarczuk. Ona roztacza wokół siebie pewną aurę. Być może jest spokrewniona z elfami lub regularnie bywa na sabatach, nie mi to oceniać. Uwielbiam jej twórczość, „Prawiek i inne czasy” to jedna z moich ulubionych książek.

Przez nią (Tokarczuk) o mało się nie spóźniłem na „Ból i blask” Pedro Almodóvara. Jak raz napisałem o tym filmie: „Ten film się zaczyna... ale nie chce kończyć. Podobnie jak główny bohater (aż nie mogłem uwierzyć, że kilkanaście lat temu jeszcze strzelał z gitary) trwa, męczy się sobą, a zarazem szuka z braku lepszego określenia „iluminacji”. I znajduje. A widz, gdy wjadą napisy końcowe, nie umie wstać, bo jak Banderas w jednej z pierwszych scen, zanurzył się i nie chce wypłynąć na powierzchnię. „Innymi słowy podobał mi się i przypomina mi się o wiele za często. Może ja i główny bohater to jedna i ta sama osoba.”

Zacząłem rozpoznawać Jacka Dehnela od czasu tej pamiętnej parady równości w Białymstoku. Polecam przeczytać jego relację z niej. Po spotkaniu z nim po filmie Almodovara (jak się okazało też na nim był) zachęcony przez niego przeczytałem „Saturna”. I nie mogę uwierzyć, że ktoś o niesamowitej zdolności łączenia surrealistycznego opisu z realną historią istnieje. Sam pan Dehnel okazał się bardzo miłym człowiekiem z laseczką w stylu Willy’ego Wonki. Bardzo ciekawa persona, miłośnik Xawiera Dolana i stały bywalec festiwalu (i być może znam jego kuzynkę). Do zobaczenia w przyszłym roku, panie Dehnel.

## 01.08 - Ucieczka z kina Nowe Horyzonty

Czy można zapomnieć o rocznicy powstania warszawskiego? Można, a czasem trzeba, zwłaszcza gdy przesypia się nieprzespane noce podczas zmiany na filmie. „Antologia duchów miast” Denisa Côté okazała się grajdołem między

Twin Peaks a Fargo. O wiele ciekawszy był mój sen, którego już zapomniałem.

Największy błąd, jaki zrobiłem w ciągu festiwalu, to nie było wzięcie w piątek porannej zmiany, tylko pójście na tylko dwa filmy tego dnia. Podobno „Przynęta” Marka Jenkinsa była fajna (nawet wygrała nagrodę główną i publiczności w tym roku). Za to obejrzałem dwa rozczarowujące filmy. Drugim (chronologicznie pierwszym) okazał się „Zabierz mnie w jakieś miłe miejsce” Eny Sendijarevic.

Jak nie kręcić filmów? Jeśli nadacie im złą formę, nieadekwatną do treści, zepsujecie go. Wiem, że mogę się w tej chwili mądrzyć, i że nie nakręciłem niczego (JESZCZE), ale raczej nie należy nadawać prostej historii patetycznych tonów. Weźmy za przykład „The Room” Tommy’ego Wiseau i to słynne „You are tearing me apart, Lisa!” czy też „I did not hit her. I did not. It’s not true. It’s bullshit. I did not hit her. I DID NOT. Oh, hi Mark.” (wygooglajcie sobie). I podobnie jest z tym filmem. Wygląda, jakby ktoś przeszczepił nieudolnie stylistykę „Idy” Pawła Pawlikowskiego do „I twoją matkę też” Alfonso Cuaróna (nadal rozbawia mnie ten tytuł). Oba obrazy są świetne, ale ich styl jest adekwatny z opowiadaną historią. „Ida” to film o pustce, bolesnej pamięci pożerającej człowieka jak rak, co podkreślają wystylizowane, pełne próżni, wręcz nagie zdjęcia Łukasza Żala. Z kolei „I twoją matkę też” opowiada historię jednego lata chłopaków u progu swojej dorosłości. Poetycki styl Emmanuela Lubezkiego zmusza widza do szukania utraconego czasu w tej wręcz obrazoburczej historii.

Frankenstein, który powstał z treści Cuaróna i formy Pawlikowskiego, to nic przyjemnego. Parafrazując wielki dla mnie autorytet, jest to kolaż ze zdjęć z Instagrama. Między tobą a obrazem są lata świetlne. Za długi dystans na wszelką więź emocjonalną. Nie wiem, jakim cudem ten film dostał nagrodę w Sarajewie. Tak się po prostu kina nie robi.



## 02.08 - Żuławski vs Żuławski

Warto było zamienić się na zmiany, by obejrzyć „Mowę ptaków”? Warto.

Andrzej Żuławski to enfant terrible naszej polskiej kultury. Wieczny kontestator, nieuleczalny choleryk oraz niezwykle trudny człowiek (nie wiem, jakim cudem nie pozabijał się z Klausem Kinskim) stał się w zasadzie postacią równie kultową co jego filmy. Każdy z nich jest dość trudnym i niewygodnym dla widza seansem, jednak zachwycają swoją stroną realizatorską oraz wieloznacznością, a także poruszają dość poważne problemy związane z kondycją człowieka. „Trzecia strona nocy” rozprawiła się z traumą wojenną. „Opętanie” było studium skrywanych żądź seksualnych. Zaś „Najważniejsze to kochać”, obejrzone przeze mnie w ramach retrospektywy twórcy, brało pod lupę więzki międzyludzkie.

I powiem, że obok „Zaginionej dziewczyny”, „SScen z życia małżeńskiego” i trylogii Antonioniego to jeden z najlepszych filmów o tej tematyce. Zaś Romy Schneider potrafiła nie tylko grać inteligentne i naiwne bawarskie księżniczki. A, i znów Klaus Kinski dał popis swojego szaleństwa (wyszukajcie go w internecie, ilość jego „wybryków” zasługuje na osobny artykuł).

Żuławski zmarł kilka lat temu (dokładnie to w 2016), ale pozostawił po sobie scenariusz „Mowy ptaków”, którego realizacji podjął się Xawery Żuławski, syn, twórca adaptacji „Wojny polsko-ruskiej pod flagą biało-czerwoną” (nie wypo-wiem się o niej, bo jestem zbyt wielkim miłośnikiem Masłowskiej, by zachować obiektywizm, a filmu nie widziałem). Jak się okazało, wspólne dzieło ojca i syna już przed premierą wywołało kontrowersję, m. in. poprzez niedopuszczenie do Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni. Widocznie zabrakło Ducha Świętego...

Bo był zbędny, wystarczył ptasi. Przed pokazem miałem wizję klatki pełnej prze-krzykującej się ptaków. Pan reżyser mi ją spełnił. Nie umiem opisać w prostych słowach, o czym dokładnie był ten film. Za to stwierdzę, że to jeden z tych naj-ważniejszych, które ukształtują moją wrażliwość twórczą. Zachwyca mnie jego struktura, rytm, polifoniczność, poetyka nurtu świadomości i wiele, wiele... Chyba najlepiej opisać go dwoma cytata-mi: „O czym to, k..., jest?” (reżyser po przeczytaniu scenariusza ojca) oraz „Funny and terrible, like k\*\*\*a, f\*\*king Ti-ger” (kwestia z filmu).

## 03.08 - Szatańskie tango

Jaki jest najdłuższy film, jaki widzieliście? Być może jest to „Hobbit” (2 godz. 49 min., wersja rozszerzona 3 godz. 2 min.) albo „Władca Pierścieni”(3 godz. 21 min, rozszerzona 4 godz. 12

min.), ewentualnie „Przeminęło z wiatrem” (3 godz. 46 min.). W moim przypadku jest to „Dawno temu w Ameryce” (4 godz. 10 min.).

To nic w porównaniu z „Szatańskim tangiem” Béli Tarra, które trwa 445 minut, czyli jakieś 7 godzin i 25 minut. Seans festiwalowy (pokaz specjalny) z przerwa-mi trwał 9 i pół godziny. Ponoć warto było się poświęcić dla wszędzie-błota-i-niemilosiernego-deszczu. Na swoje usprawiedliwienie powiem, że #duty i #ilove-myjob. Innymi słowy, nie mogliśmy, bo kolidowało to z naszą pracą. Mój przyja-ciel, wielki miłośnik długich filmów (wyspie-wa wam wszystko o Lavie Diazie) chciał bardzo zobaczyć ten film. Ba, miał pod swoją opieką nawet salę, w której był wyświetlany (sala nr 3). Niestety, brak miejsc, zły horoskop, ewentualnie przegrany zakład. Mówi się trudno i kiedy indziej. Natomiast pozostaje ukłucie zazdrości.

Długie natomiast były jeszcze kolejki, szczególnie do nas i pod jedynekę. Czasami wychodziły na ulice lub na schody, w górę lub w dół. Nie szkodzi, że jest już par-ter lub drugie piętro. Ale pośmiać się z tych biednych ludzi zawsze można. Ewen-tualnie spotkać kogoś znajomego i pogadać.

Kolejka potrafi stać nawet godzinę. Z kolei system rezerwacji seansów potrzebuje sekundy, by się zablokować. Sekundę po 8:30, od której to można rezerwować wejścia na seans, miejsca potrafią dosłownie zniknąć. Zwłaszcza na najnowszego Tarantino (idzie koniecznie).

Mnie tamtego dnia zamiast „Szatańskiego tanga” czy „Pewnego razu w Hollywo-od” czekały inne atrakcje. Zacząłem dzień od „Małego Ah-meda” braci Dardenne. Nie znałem wcześniej ich twórczości i wciąż muszę nadrobić m. in. „Roset-tę”. Si-ła, z jaką uderzył mnie ich najnowszy film, była tak duża, że musiałem puścić so-bie po seansie „One” U2, by uwierzyć, że jest jeszcze dobro na świecie. Tytułowy bohater filmu miał zaledwie 13 lat, mieszkał w Belgii z rodziną i był członkiem mniejszości muzułmańskiej. Pod wpływem imama chciał zabić swoją nauczyciel-kę, którą nazywał apostatką. Gdy społeczeństwo było nieco bardziej inteligentne, ten film mógłby być puszcza-ny w szkołach, jako przestroga przed jakimkolwiek fundamentalizmem i radykalizmem. Bez względu na religię czy doktrynę, uniwer-salna wymowa filmu boli.

Bardziej optymistyczny okazał się inny wybitny obraz „Portret kobiety w ogniu”. Jeden z moich ulubionych filmów festiwalu to niemal wariacja między „Barrym Lyndonem” a „Życiem Adeli”. Tak subtelny, wrażliwy i harmoniczny film nie widziałem w swoim życiu. Nie potrzebuje ust, żeby krzyczeć, wystarczy mu samo bycie. I nareszcie wiem, co dokładnie kryje się pod nazwą „kobiece spoj-rzenie”. Madame Sciamma, dziękuję za cenną lekcję. Madame Hænel, jest pani niesamowitą kobietą w ogniu.

Co wychodzi z połączenia westernu z Brazylią i „Miasteczkiem Twin Peaks”? „Bacurau” Juliano Dornellesa i Klebera Mendonça Filho. Ostatni film obejrzany tamtego dnia okazał się... czymś ponadkwantowym. Zabawny, ale też wzruszają-cy. Brutalny, ale lubiący życie. Chyba nikt z obecnego rządu Brazylii nie lubi tego obrazu. I dobrze, banda \*\*\*\*\*. Zresztą zostali sparodiowani w jednej z zabawniejszych w historii scen kampanii wyborczej. Pamiętajcie, by nie głosować na Tony’ego Juniora.

#### 04.08 - In the End.

„Blue” - ostatni film Dereka Jarmana to tylko niebieski ekran i ścieżka dialogowa do tego. I tak jest czymś, co nie ulega zapomnieniu. Jarman w ostatnich latach życia cierpiał na AIDS. W związku z tym stopniowo tracił wzrok. Jego epitafium wymaga od widza zrozumienia jego bólu związanego ze stopniowym odchodzeniem.

Jedyne, co widzieliśmy, to kolor niebieski. Nadal go dostrzegam.

Moim ostatnim filmem był „Matthias et Maxime” Xaviera Dolana. Facet debiutował „Zabiłem swoją matkę” w wieku dwudziestu lat. Czy jest złotodziobem? Jest. Czy to złote dziecko kina i świetny reżyser? Tak. Czy warto go znać? Należy go znać. Czy podobał mi się jego film? Tak, aczkolwiek był nieco przydługi. Mo-że to kwestia jego ADHD. Ale będąc szczerym, uwielbiam ten dialog: „ - Twoja stara jest tak gruba, że jej patronus to Burger King. - A twoja stara swojego zeżarła.”

Po czym poznać, że jest się zmęczonym? Jest się zmęczonym, gdy pies ląduje w koszu, a śmieci zostają wprowadzone na spacer.

Wrocław to bardzo nudne miasto, leżące pod bardzo brudnym niebem. Tysiące samochodów przejeżdżają przez nie bez zatrzymywania się. Pewnej niedzieli, czwartego sierpnia, pewien człowiek stanął na środku rynku miejskiego i powiedział: „ - To Wrocław”.

Być może zrazę wielu miłośników miasta do siebie, ale tak mniej więcej czułem się po festiwalu. Chyba miałem dosyć pod koniec całego tego zgiełku, ale nie ukrywam, że brakuje mi wiele: szukania znajomych twarzy w tłumie gości, wspólnej pracy na rzecz festiwalu, obijania się po godzinach na rzecz festiwalu, a przede wszystkim odlotów filmowych, nieraz potrafiących zrobić sieczkę z mózgu widza (a twórcy nawet za to nie przepraszają).

Mam świadomość, że nie doświadczyłem całego festiwalu. Nie widziałem wszystkich filmów (czego ogromnie żałuję, ale ja też mam jakąś wytrzymałość), nie byłem obecny na scenie artystycznej, raz poszedłem do klubu w Arsenale (przegapiając DJ-a Romana Gutka) i nie spotkałem wszystkich gości. Natomiast nie mogę doczekać się przyszłego roku. I będzie to jeszcze lepszy festiwal. Dojdą nowi znajomi, nadrobię zaległości z tego roku i pozwolę się utopić w kinie.

Odbyła się już po oficjalnym zamknięciu festiwalu gala wolontariatu. Oprócz zaświadczeń, dostaliśmy także po filmach i ołówku z nasionami roślinki (ja swój zgubiłem). Były jeszcze pokazy filmów nakręconych przez nas w trakcie festiwalu (miałem zrobić „Wolontariuszy”, takich festiwalowych „Clerks”, ale nie wyszło, mówi się trudno). Czy mieliśmy trudności w pożegnaniu się? Ja miałem. Ale czy mam wpływ na rzeczy niezależne ode mnie?

**KACPER KOWALSKI – 3 A**



# Dzień Sportu

Od ponad roku trenuję wioślarstwo. Trafiłem na nie przypadkowo - pewnego semestru wuefiści postanowili wstrzymać fakultet turystyki górskiej, więc zapisałem się na zajęcia do prof. Szymerowskiego. Ten zbieg okoliczności rozpoczął moją poważniejszą, trwającą do dziś przygodę z wysiłkiem fizycznym. Dzień Sportu, który odbył się u nas w pierwszym tygodniu nauki, stanowił równie dobrą okazję do znalezienia swojej dyscypliny dla każdego chętnego ucznia ALO, a nawet zapewnił możliwość rywalizacji międzyklasowej.

**S**potkanie rozpoczęło się o godzinie 9. Wszyscy uczniowie zebrali się na bulwarze PWr., który momentalnie zapełnił się tłumem ludzi w sportowych strojach. Dzięki temu, że po raz drugi dopisała pogoda, wydarzenie rozegrało się w całości na zewnątrz. Nie zwlekając dłużej, wszyscy zostali zapoznani z zasadami rozgrywek, obowiązującą punktacją i planem dnia, zapowiadającym się bardzo optymistycznie.

Najbardziej nietypową dyscypliną była gra w bule. Wbrew temu, czego można by się spodziewać, okazała się być niezmiernie pochlaniająca. Burze oklasków i triumfalne krzyki przerywał tylko świst kul ciskanych przez uczestników. Nawet osoby, które otwarcie i brutalnie komentowały, że jakkolwiek sport ich nie interesuje, zdawały się być pochłonięte rywalizacją.

Równie nietypową dyscypliną były wyścigi na ergometrach. Stanowiły szczególnie ciężkie wyzwanie dla uczniów klas pierwszych, którzy w większości spotkali z takim sprzętem po raz pierwszy. Mieli zaledwie kilka minut na zapoznanie się z prawidłową techniką, więc (nieco niezdarne przyswojona) stanowiła ona dla zaawansowanych powód do uśmiechu. Nikt się jednak nie oszczędzał i każdy starał się wykorzystać swój potencjał tak, aby jak najszybciej przepłynąć sztafetę o dystansie półtora kilometra. Nie dało się również przegapić startów szkolnych wioślarskich gwiazd, na przykład Kuby Krajewskiego (1 B), który podczas konkursowych 300 m osiągnął średnią 1:15/500 m.

Grą, której nie mogłoby zabraknąć w jakimkolwiek szkolnym wydarzeniu, były dwa ognie. Uczestnicy podeszli do nich zaskakująco poważnie, a drużyny wybrane zostały dużo wcześniej. Piłki dynamicznie przecinały powietrze i skutecznie trafiały w zawodników. Liczna widownia zdawała się być nawet bardziej pochłonięta grą i liczeniem punktów

niż zawodnicy i sędziowie.

Każdy musiał znaleźć konkurencję dla siebie, co nie było wybitnie trudne. Niektórzy zdecydowali się też na udział w obwodzie sprawnościowym na czas, który polegał na dynamicznym wykonywaniu ćwiczeń takich np. jak pompki. Ogromnym zainteresowaniem cieszyła się sztafeta, stanowiąca zwieńczenie całego wydarzenia i bezpośrednio poprzedzała ogłoszenie wyników. W wielu przypadkach mogła zaważyć o miejscu klasy na podium, więc cała szkoła przystąpiła do niej z dużą uwagą, a biegacze - z determinacją. Jako jedyna konkurencja ta nie rozegrała się na bulwarze; biegaliśmy po dziedzińcu C 13, który zapewnia odpowiednie podłoże i trawnik o powierzchni pozwalającej na pomieszczenie całej szkoły. W rywalizację zaangażowali się nawet nauczyciele i wychowawcy, którzy dopingowali swoich podopiecznych.

Wszystko zakończyło się około godziny 13. Pani dyrektor Agata Roman uścisnęła dłoń reprezentantom zwyciężskich klas i wręczyła nagrody rzeczowe, w tym paletki do ping ponga i bule, o które tak zawzięcie toczyła się rywalizacja. Już druga edycja Dnia Sportu w naszej szkole spotkała się z dużym entuzjazmem każdego z uczniów, a wielu z nich nie mogło doczekać się zaprezentowania swoich umiejętności przed znajomymi. Szczególnie przydatne było to dla klas pierwszych, które ledwo co zakończyły swoje zajęcia integracyjne i wydarzenie pozwoliło na dalszą współpracę oraz głębsze poznanie się. A inni, może właśnie dzięki niemu, odkryli swoją nową pasję. Szkoda jedynie, że Dzień Sportu zorganizowano już po wyborze fakultetów z wuefu. Z pewnością niektóre z nich, po tym jakie emocje wzbudziły podczas rozgrywek, cieszyłyby się znacznie większym zainteresowaniem.

**MAKSYMILIAN SKICA - 1 D**





# Światła na rozszerzenia

Każdy przyszły maturzysta wie, jak ważne są rozszerzenia przedmiotowe. Opowiadają dziś o nich uczniowie naszych klas trzecich i drugich.

## KLASY TRZECIE

**Rafał Kaczmarek:** - Uczęszczam na rozszerzenia z matematyki, fizyki i języka angielskiego. Wybrałem te przedmioty, aby powiązać je z moim przyszłym zawodem. Angielski jest obligatoryjny w dzisiejszym świecie. Fizyka to przedmiot, który pomaga zrozumieć otaczający mnie świat, a matematyka pozwala mi uporządkować wszystko, co dzieje się nie tylko w mojej głowie.

**Victoria Fufi-Dłubak:** - Wybrałem rozszerzenia z angielskiego i niemieckiego, ponieważ lubię uczyć się języków obcych i pogłębiać wiedzę nt. innych krajów. Obecnie na dobrych stanowiskach pracy wymagana jest znajomość języków, a nasza szkoła pozwala opanować je na bardzo wysokim poziomie.

**Przemysław Tomczyk:** - Wybrałem m. in. rozszerzenie z fizyki, ponieważ może to wpłynąć na moją przyszłość (planuję studiować na politechnice). Niestety, rozczarował mnie plan lekcji (kończę lekcje dopiero o 17). Ten sam problem był rok temu

**Szymon Czekał:** - Chodzę na trzy rozszerzenia: matematykę, fizykę i angielski (matma i język są i tak obowiązkowe). Na czwarte rozszerzenie się nie zdecydowałem, ponieważ uznałem, że zabraknie mi czasu na zajęcia pozalekcyjne. Nie podoba mi się to, że mam wiele okienek, za to cieszę się z małej liczby osób w grupach, co ułatwia uczenie się.

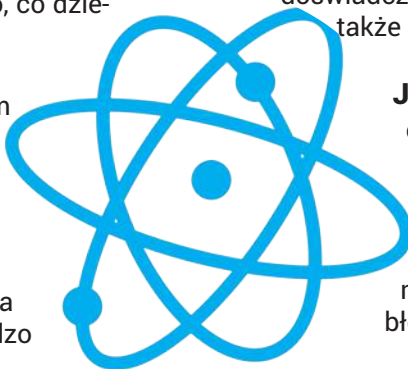
**Mikołaj Bednarz:** - Na pewno dużym atutem w tej szkole jest możliwość wyboru rozszerzeń w drugiej klasie. Problemem są tylko późno zaplanowane lekcje z okienkami przed tymi lekcjami.

**Filip Pazera:** - Matematyka zawsze mi się podobała. Cieszę się, że mamy dwóch nauczycieli z tego przedmiotu. Informatyka jest prowadzona przez doświadczonych pedagogów, którzy pracują także na politechnice.

**Jakub Ignatowicz:** - Prof. Walczyński dobrze przygotowuje nas do matury i nie narzuca nam języka oprogramowania. Profesor udziela nam cennych rad (także życiowych), dzięki czemu nasze lekcje to nie tylko klepanie kodu i poprawianie błędów...

**Emilia Steć:** - Wybrałam matematykę i fizykę, mimo że moją pasją są filmy. Nie odpowiadają mi wszystkie metody nauczania, dlatego trochę boję się o maturę, ale jeszcze nie mam sprecyzowanych planów, jeśli chodzi o kierunek studiów.

**Krzysztof Wołowicz:** - W tej szkole nie istnieje się bez rozszerzenia z matematyki, więc mój wybór był oczywisty. Nieco niezrozumiała jest rotacja nauczycieli, których na rozszerzeniu z tego przedmiotu miałem już czterech. Po pierwszej klasie planowałem zakończyć znajomość z fizyką, a przez pewien czas wisiła nade mną widomo zagrożenia z tego przedmiotu. Mimo wszystko przystąpię do



## KLASY DRUGIE

**Dagna Pabian:** - Wybór rozszerzeń to bardzo ważny moment w życiu każdego licealisty. Ta decyzja może wpłynąć na całe przyszłe życie. W moim przypadku nie był to łatwy wybór. Długo się zastanawiałam, co będzie dla mnie najlepsze. Ostatecznie wybrałam matematykę, fizykę, chemię i angielski. Wciąż jednak nie mam pomysłu na swoją przyszłość i nie wiem, na jakie pójdę studia (o przyszłej pracy nawet nie myślę).

**Adam Kita:** - Przyszedłem do tej szkoły gotowy na najgorsze. Już tydzień przed rozpoczęciem roku szkolnego myślałem tylko o rozszerzeniach. Zadawałem sobie pytanie: kto będzie mnie uczył, czy będę miał lekcje od 7.30 do 16.45 bez żadnego okienka? Gdy po rozpoczęciu roku szkolnego sprawdziłem swój plan, byłem bardzo zdziwiony. Nie spodziewałem się aż tylu korzyści...

**Bartosz Pyzio:** - Wybrałem matematykę, fizykę, informatykę i angielski, choć nasza szkoła nie skupia się tylko na przedmiotach ścisłych, ale także dużo uwagę poświęca językowi polskiemu. Na przedmiotach rozszerzonych nauczyciele z chęcią i cierpliwością tłumaczą uczniom wszystkie tematy i pomagają w razie jakichkolwiek problemów.

**Anna Zarówna:** - ALO PWr. to szkoła wyjątkowa. Wyróżnia ją indywidualne podejście nauczycieli do każdego ucznia. Umożliwiła mi uczęszczanie

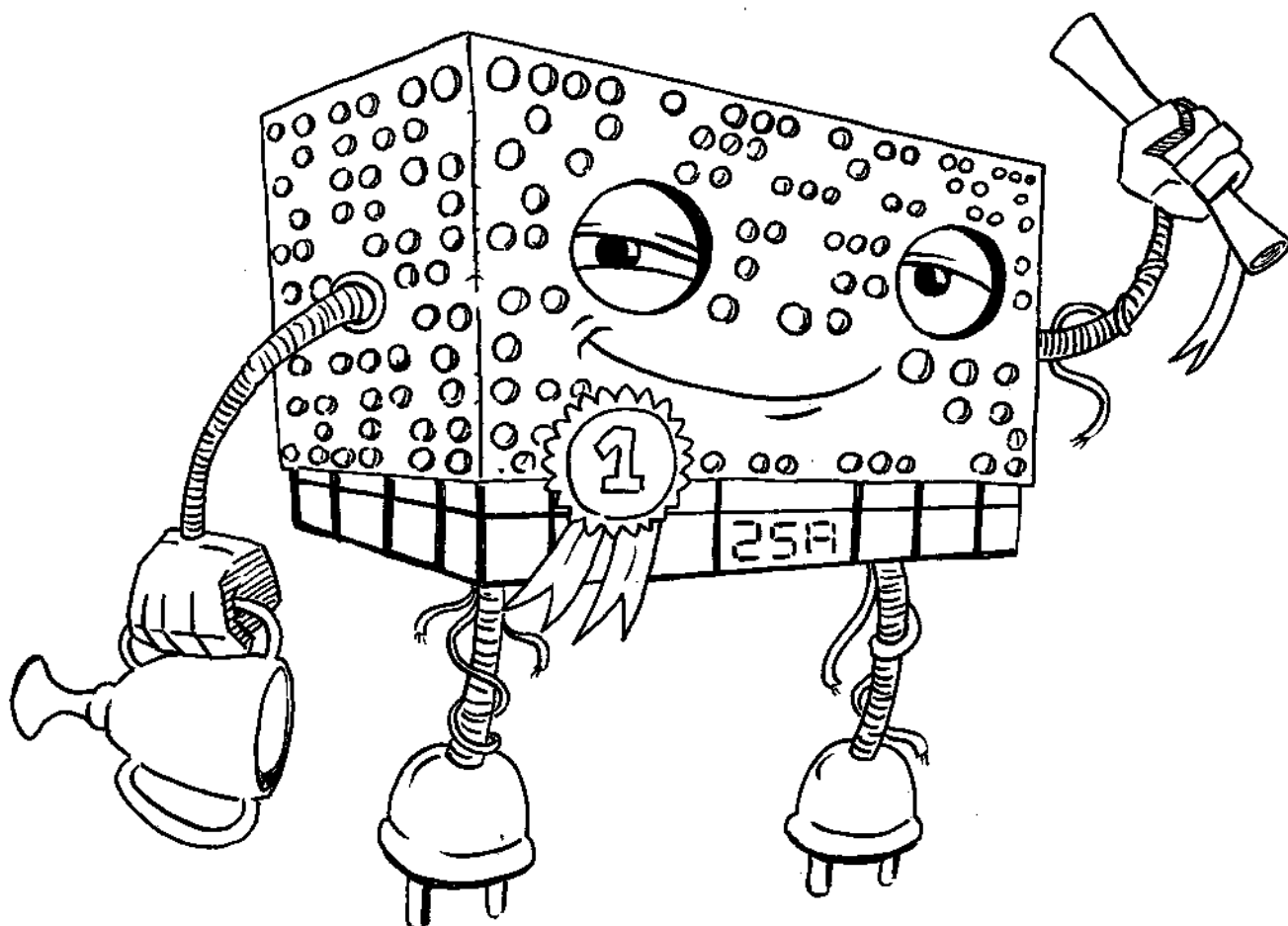
równoczesne na rozszerzenia interesujących mnie przedmiotów: fizykę i chemię. Lekcje odbywają się w dobrze wyposażonych salach i na obiektach sportowych, a prowadzą je profesjonalni nauczyciele.

**Marcel Dybek:** - Bez wahania wybrałbym ponownie Liceum Akademickie Politechniki Wrocławskiej. Szkoła, do której chodzę, jest najlepszym wrocławskim liceum. Nauczyciele uczą nas z pasją, a panująca w szkole atmosfera jest przyjazna. Wierzę, że to dzięki rozszerzeniom z matematyki, fizyki, angielskiego i informatyki odniosę w przyszłości życiowy sukces.

Wojciech Tysier: - Mam sporo okienek i często zaczynam na lekcji zerowej. Lekcje wychowania fizycznego w środku dnia nie dają takiej satysfakcji, jak te, które zaczynają lub kończą dzień.

**Kinga Adamek:** - Jedną z zalet ALO jest możliwość wyboru przedmiotów rozszerzonych dopiero pod koniec pierwszej klasy i dowolna ich konfiguracja. Każdy ścisłowiec znajdzie tu coś dla siebie. Rozszerzenia są w grupach, co ułatwia integrację.

**Lucjan Rawiak:** - Wybrałem fizykę i matematykę. Wierzę, że studia na politechnice ułatwią mi znalezienie dobrego zawodu. Mam niewygodny plan i sporo okienek, które można spożytkować w rozmaity sposób, jednak nie zmienia to faktu, że mam poczucie marnowania czasu. Z drugiej strony to dobry moment, aby nawiązać nowe znajomości i spędzić miło czas z przyjaciółmi.





# Jak oceniasz szkołę po roku?

Głos mają dziś drugoklasiści, którzy już nie boją się ALO, a matury jeszcze się nie obawiają. Są pośrodku...

**Karolina Rogowska:** - Uważam, że nasza szkoła ma wady, jak każda inna. Wielkim minusem jest utworzony niedawno plan lekcji. Chodzi o często długotrwałe oczekiwanie na kolejne zajęcia (okienka, które trwają po dwie, trzy godziny), co jest uciążliwe oraz o późno kończące się lekcje. Plusem natomiast są możliwości, jakie daje ta szkoła, np. wysoki poziom nauczania matematyki i zajęcia w laboratoriach. Wielkim atutem są również... windy.

**Rafał Trzak:** - Po roku uczęszczania do ZSA (obecnie ALO) bardzo zżyłem się z tą szkołą, a w jeszcze większym stopniu z osobami, które tę szkołę tworzą. Panuje tu miła i przyjazna atmosfera pozwalająca zdobywać wiedzę. Zawsze można zadać pytanie albo poprosić o wytłumaczenie zadania. Nie ma presji rywalizacji, raczej jest zachęta na samodoskonalenie.

**Urszula Waszkowiak:** - ALO PWr. jest szkołą skupiającą się na potrzebach ucznia. Indywidualne plany lekcji, tak przez nas znieawidzone z powodu długiego czasu trwania zajęć i wiele okienek między lekcjami, dają nam szansę kształcić się w kierunku, który chcemy kontynuować na studiach. Rozszerzona matematyka, chemia bez fizyki, nieosiągalne

w innych szkołach, są dla nas codziennością. Wielka baza laboratoriów i pomocy naukowych zachęca nas do poszerzania wiedzy. Nauczyciele starający się wprowadzić atmosferę współpracy w klasach, a nie wyścigu szczurów, są często gotowi odpowiedzieć na nasze niekonwencjonalne i wykraczające poza program pytania. Największym mankamentem tej szkoły jest logistyka. Układanie planu nie jest łatwe, a dla nas przystosowanie się do niego. Wracanie do domu o późnych godzinach niejednokrotnie ogranicza nam możliwość rozwijania innych pasji.

**David Morek:** - Moje odczucia co do tej szkoły są mieszane. Z jednej strony poziom nauczania jest wysoki, co może pozwolić nam dostać się na wymarzone studia, osiągnąć cel, znaleźć dobrą pracę. Z drugiej strony brak tu integracji między uczniami i klasami. Dużo osób myśli tylko o szkole i ocenach, przez co nie mają zbyt dużo do powiedzenia na inne tematy. Osoby te zazwyczaj nie mają pasji, tylko się uczą. Brakuje mi również wycieczek, w zeszłym roku była tylko jedna, na której i tak kazano nam się uczyć. Brak tu takiego „szkolnego hałasu” na korytarzach. Czasami człowiek czuje się, jakby był tu sam albo w innym miejscu, nie w szkole, tylko w urzędzie, przychodni, tam, gdzie należy zachowywać się cicho. Czuć tu ducha rywalizacji, co nie jest, moim zdaniem, dobre.



# Dlaczego ALO?

Na proste pytanie odpowiedzi udzielają uczniowie naszych klas drugich.

**Gaspar Sekula:** - Przez minione trzy lata uczęszczałem do Gimnazjum Akademickiego. Wybór ALO był dla mnie oczywisty ze względu na priorytetowe traktowanie przedmiotów ścisłych oraz sprawdzoną kadrę pedagogiczną. Dowiedziałem się, że moim wychowawcą będzie p. Gładysz. Więcej do szczęścia nie było mi trzeba. Dostałem się tutaj przy pierwszym naborze. Chciałem iść do ALO i jestem zadowolony ze swojej decyzji.

**Michał Sapijaszk:** - Dlaczego wybrałem ALO? Pomijając oczywistość „najlepszej szkoły”, powodów miałem więcej. Najważniejszy to koledzy. Prawie cała moja klasa z gimnazjum (też politechniczne) zadeklarowała, że chce pójść do ALO. Stare znajomości często łatwiej pielęgnować niż zawierać nowe. Podobnie było z nauczycielami. Wiedziałem, kto pyta co lekcję, u kogo są trudne sprawdziany itd. Liczą się jeszcze inne powody jak lokalizacja szkoły i dobry internet.

**Marta Płóciniczak:** -Wybrałam ALO głównie dlatego, że jest to jedna z najlepszych szkół we Wrocławiu i wiem, że ucząc się tutaj, zostanę dobrze przygotowana do matury i dalszej edukacji. Jest to też szkoła nowoczesna, czysta, ma ładny budynek. Kolejnym czynnikiem było to, że wybierało się tu dużo moich przyjaciół z gimnazjum i wiedziałam, że będę lepiej się czuła, zaczynając liceum z kimś znajomym. Szkoła jest dobrze zlokalizowana i mam do niej dobry dojazd.

**Mikołaj Machalski:** - Jestem z gimnazjum dwujęzycznego w Strzelinie i wybrałem ALO, ponieważ myślałem już o tym od początku trzeciej klasy gimnazjalnej. Wprawdzie nie byłem na dniach otwartych, ale nie przeszkodziło mi to w wyborze tego liceum. Najważniejszym moim kryterium w wyborze tej szkoły był wysoki poziom nauczania matematyki i fizyki. Drogi ósmoklasisto, jeśli to czytasz, polecam ci tę szkołę, choć znam ją dopiero tydzień.

**Maja Kuebler:** - Na początku nie planowałam kontynuować nauki w tej szkole, ponieważ wiąże swą przyszłość z medycyną, a rozszerzenie biologii nie jest tu możliwe. Jednak na dniach otwartych przekonałam się, że matematyka i chemia są tutaj na bardzo wysokim poziomie, a ta druga jest niezbędna w celu rozwijania kariery medycznej. Na zmianę mojej decyzji wpłynęły również bogate zasoby dydaktyczne szkoły, szczególnie laboratoria chemiczne. Fakt, który przypieczętował moją decyzję, to odbywające się pięć razy w tygodniu lekcje angielskiego. Chcę studiować za granicą i perfekcyjna znajomość tego języka jest dla mnie priorytetem.

**Maja Leśniewska:** - Jestem z Sochaczewa w województwie mazowieckim. Szukałam szkoły, dla której będzie warto się przenieść do całkiem nowego miasta. Interesowała mnie matematyka i fizyka, a ALO miało jedno z najwyższych wyników rozszerzonych matur, jeśli chodzi o te przedmioty. Poza tym na dniu otwartym spodobał mi się budynek, w którym znajduje się to liceum. Po politechnice spodziewałam się dobrze wyposażonych sal lekcyjnych. I nie zawiodłam się.

**Alicja Huk:** - Gdy tylko weszłam do szkoły na dniach otwartych, otoczyli mnie przyjaźni i inteligentni ludzie. ALO wydawało się spełnieniem marzeń o idealnej szkole. Po chwili odkryłam wady tej szkoły- nieotwierane okna, dość wąskie korytarze, ale mimo to na pierwszy plan wybijała się myśl, że są tu ludzie inteligentni, którzy dostrzegają wartość wiedzy. Uważam, że wysoki poziom szkoły to nie tylko jakość nauczania, ale też mentalność uczniów, którzy tę szkołę reprezentują. W ALO zobaczyłam poziom wyższy niż we wszystkich innych szkołach, które odwiedziłam.

# Matura na celowniku uczniów ALO

**Piotr Wojdan:** - Obecna formuła egzaminu maturalnego z języka polskiego nie jest odzwierciedleniem wiedzy uczniów przygotowujących się do tego egzaminu praktycznie przez całe życie. Zakres podstawy programowej nie jest praktycznie sprawdzany, a czytanie ze zrozumieniem to tylko radzenie sobie w stresującej sytuacji. Cierpią na tym ci, którzy przygotowują się sumiennie, zyskują obiboki.

**Filip Hahs:** - Moim zdaniem matura z polskiego powinna sprawdzać umiejętności wykorzystania danego tekstu, a nie zestaw toposów. Nigdy nie będę polonistą, więc po co mi ta szczegółowa wiedza?

**Bogdan Rychlikowski:** - Matura ustna oparta jest za mocno o element losowy. Nie ma też gwarancji, że wyniki będą porównywalne, bo nie da się zrobić puli kilkudziesięciu pytań o tym samym stopniu trudności. Klucz odpowiedzi na maturze pisemnej jest zbyt sztywny, nie pozwalając często na logiczne, poprawne odpowiedzi.

**Marek Schubert:** - Matura powinna w większym stopniu niż obecnie sprawdzać, czy zdający potrafi myśleć i wyciągać wnioski. Posiadanie własnej opinii jest jedną z ważniejszych cech dzisiejszego człowieka. Matura tego nie sprawdza, zamiast tego wymaga znajomości uczuć fikcyjnych bohaterów, niemających odwzorowania w rzeczywistości. Można wkuć repetytorium na pamięć, ale pozostać podatnym na manipulacje i półprawdy. Powinno być na odwrót.

**Radosław Koczan:** - Matura z polskiego sprawdza w niewielkim stopniu wiedzę z tego przedmiotu. Całość sprowadza się do tego, aby uczniowie odpowiadali pod klucz. Ten egzamin nie jest koherentny z pp nauczania polskiego w szkole. Dlatego wydaje mi się bezużyteczny.

**Maks Malicki:** - Na maturę z polskiego można spojrzeć z różnych stron. Matura z przedmiotów ścisłych rzetelnie sprawdza nabytą w liceum wiedzę. Matura z polskiego jest przesadnie rozbudowana, a od uczniów wymaga się niepotrzebnie szczegółowej wiedzy o lekturach, przykładając

za mało uwagi do umiejętności retorycznych oraz swobodnego, spójnego wypowiedzenia się na tematy dotyczące aktualnej rzeczywistości.

**Jędrzej Lewandowski:** - Obowiązująca formuła powinna być udoskonalona. Uczniowie kują na pamięć wiadomości z olbrzymiego zakresu materiału, a część ustna egzaminu jest bezużyteczna. Warto też zmienić te pytania, które nie mają nic wspólnego z pp nauczania.

**Mateusz Torski:** - Matura ma swoje plusy i minusy. Część testowa i ustna nie sprawdza bezpośrednio wiedzy ucznia. Dlatego nie możemy do tych części przygotować się z konkretnej wiedzy.

**Jakub Sokołowski:** - Matura z polskiego nie sprawdza umiejętności zawartych w pp nauczania, ćwiczonych na lekcjach. Pojawiają się pytania, na które udzielenie odpowiedzi sprawia trudność również uczniom, którzy opanowali pp nauczania. Są też pytania banalne, zbyt proste.

**Maciej Bazela:** - Matura z polskiego jest bezużyteczna, nie sprawdza faktycznej wiedzy ucznia, jest jedynie zestawem schematów interpretacyjnych. Jeśli 12 lat nauki jest zwieńczone opisaniem zaledwie jednego utworu, to dla mnie jest beznadziejną formą sprawdzenia wiedzy.

**Lena Jasińska:** - Matura w niewielkim stopniu testuje naszą znajomość zagadnień z pp nauczania. Dlatego nawet dobrze przygotowany uczeń może nie uzyskać dobrego wyniku. Do tego odpowiedź na maturze ustnej, połączona ze stresem, może znacznie pogorszyć wynik.

**Julia Zabłotni:** - Egzamin maturalny to obecnie loteria szczęścia. Ponadto, po ukończeniu szkoły, większość z nas nie skorzysta z wiedzy przyswojonej na języku polskim. Nasi nauczyciele są niewolnikami systemu, zamiast przekazywać uczniom coś ciekawego, zmuszają nas do wkuwania na pamięć listy pojęć. Wszyscy cierpią na tym, że ktoś narzuca młodym ludziom tak żałosny egzamin. Obecnie matura z polskiego jedynie zniechęca do tego przedmiotu.

**„POLITECHNIK JUNIOR”  
PERIODYK AKADEMICKIEGO LICEUM  
POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ**

**Redaktor naczelny:** Kacper Kowalski.

**Zastępca red. naczelnego:** Maksymilian Skica,  
Małgorzata Wieczorkiewicz.

**Sekcja filmowa:** Maciej Proćków, Mateusz Torski.

**Technicy komputerowi:** Michał Jagodziński,  
Kamil Janowski.

**Opiekun pisma:** Wojciech Walczak.